

W objęciach carycy Władymiry

3 czerwca 2010

Ponieważ wody potopu, jaki nawiedził Polskę za sprawą zderzenia się mas ciepłego powietrza, napływającego nad Polskę znad francuskiego kieszonkowego imperium, czyli Unii Śródziemnomorskiej z chłodnym powietrzem napływającym znad Imperium Rosyjskiego, właśnie zaczęły powoli opadać, niezależne media powracają do wyjaśniania przyczyn katastrofy prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem.

Tak się bowiem szczęśliwie złożyło, że Rosjanie podali polskim niezależnym prokuratorom do wierzenia wersję znaną od samego początku, a może nawet jeszcze przed katastrofą, że jej przyczyną powinien być błąd pilota, albo nie tylko pilota, ale również osób, których głosy Rosjanie usłyszeli podczas szczegółowego odsłuchiwania zapisów w czarnych skrzynkach. Okazało się mianowicie, że w kabinie pilotów musiał panować straszny tłok, a kto wie, czy samolotu własnoręcznie nie prowadził nawet sam generał Błasik. Na razie głosy nie wskazują na obecność w kokpicie prezydenta Kaczyńskiego, chociaż wszystko jeszcze przed nami i kto wie, co jeszcze uda się usłyszeć z czarnych skrzynek.

Ciekawe, czy można na przykład wgrać na nie dodatkowe nagrania, które przecież mogłyby pierwotną wersję przyczyn katastrofy znakomicie uwiarygodnić. Jeśli można, to nie należy takiej możliwości zaniedbywać, bo im lepiej oficjalna wersja zostanie udokumentowana, tym lepsze podstawy będzie miał premier Tusk do obdarzania strony rosyjskiej pełnym zaufaniem, no a my wszyscy – zgodnie z oczekiwaniami Stronnictwa Ruskiego, które właśnie wypączkowało ze Stronnictwa Pruskiego – powody do wdzięczności. I kiedy tak niezależne media posłusznie zachodzą w głowę, któż jeszcze mógł wtargnąć do kabiny pilotów, mało kto ma już głowę do zastanawiania się nad przyczyną, dla której wszyscy obecni w kokpicie sprawiali wrażenie, jakby myśleli, że lotnisko jest gdzie indziej i

bliżej. Tego pewnie już nigdy się nie dowiemy, bo pracownik wieży kontrolnej, który z prezydenckim samolotem się kontaktował, natychmiast po katastrofie przeszedł na zasłużoną emeryturę i podobnie nie ma z nim kontaktu. Nie ma kontaktu! Esperons, że nie dostał „ćwiary bez prawa korespondencji”, co za czasów Ojca Narodów oznaczało w Rosji transfer do lepszego świata – no ale ten brak kontaktu w kraju, gdzie nawet włosy na głowie każdego obywatela są policzone również i dzisiaj skłania do głębokiej zadumy.

W tej sytuacji, jeśli takie będzie społeczne zamówienie, nie można wykluczyć, iż końcowy komunikat obwieści nam, że obawiając się sądu zagniewanego ludu prezydent Lech Kaczyński popełnił samobójstwo, celowo kamuflując je pod postacią lotniczej katastrofy, by dodatkowo rzucić cień na prastarą ziemię smoleńską. Zresztą nie czekając na końcowe orzeczenie komisji, prawdę tę spenetrował od razu przywódca Partii Nacjonal-Bolszewickiej, pan Aleksander Dugin, który bez zdziwienia skwitował fakt, że na widok takiej zuchwałości prastara ziemia smoleńska uniosła się gniewem tak bardzo, że aż wyszła naprzeciw prezydenckiemu samolotowi, no i stało się, co się w tych okolicznościach stać musiało.

Żeby jednak wszystkie wersje, stopniowo uzupełnianie i poprawiane zostały przyjęte powszechnie i bez zastrzeżeń, starsi i mądrzejsi przypomnieli sobie wskazówkę Ojca Narodów, że „kadry decydują o wszystkim”, w związku z czym zaktywizował się aktyw oraz związki zawodowe w państwowej telewizji. Prywatne, te założone przez razwiedkę, już od dawna ustawione są kadrowo w jak najlepszym porządku i jeśli przychodzi tam do przesłuchania jakiegoś delikwenta z opozycji, to nawet bez stosowania niedozwolonych metod śledczych, każdy śpiewa z właściwego klucza. Gorzej w mediach państwowych, to znaczy – w radiu i telewizji, które jeszcze trwają w sprośnych błędach Niebu obrzydłych i nie tylko jątrzą i dzielą, ale w dodatku zasiewają różne wątpliwości, podkopujące jedność moralno-polityczną narodu. Na szczęście są jeszcze zdrowe siły zdolne

położyć temu kres, bo kadry poszły w ruch. Kierownictwo tygodnika „Wprost” objął redaktor Lis, a z radiowej trójki właśnie wyleciał ze stanowiska dyrektor pan Jacek Sobala, który objął je po pani Magdalenie Jethon, będącej prawdziwą duszeńką niezależnych mediów. Podobno wziął udział w imprezie, którą autorytety moralne uznały za wiec wyborczy Jarosława Kaczyńskiego, no a za takową psotę – wiadomo: tylko dymisja. Gdyby tak dla symetrii wziął udział w wiecu ku czci „drogiego Bronisława”, czyli pana marszałka Komorowskiego, może by jeszcze się uratował, a tak, to „trup baronowo, grób baronowo, plajta kłapa, kryzys, krach!”

Ale jedna jaskółka nie czyni wiosny ludów, toteż w telewizji zmobilizowane zostały związki zawodowe, które postawiły sprawę na gruncie godnościowym. Trzeba powiedzieć, że tym razem koordynacja była dobra, bo jednocześnie w Senacie znany z karności marszałek Borusewicz zarządził głosowanie nad sprawozdaniem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Gdyby Senat sprawozdanie to odrzucił, podobnie, jak odrzuciłby je Sejm, to nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, że odrzuciłby je również pełniący obowiązki prezydenta pan marszałek Bronisław Komorowski i w ten sposób Krajowa Rada przestałaby istnieć, dzięki czemu państwowa telewizja ległaby przed razwiedką z rozłożonymi nogami. Oczywiście przed rozpoczęciem kohabitacji przeszłaby intensywną kurację przeczyszczającą ją z różnych redaktorów Janów Pospieszalskich, czy Ew Stankiewicz, którzy ośmielili się nakręcić film „Solidarni 2010”, przedstawiającą żałobę po ofiarach katastrofy pod Smoleńskiem w sposób całkowicie odmienny od zatwierdzonego, „jątrząc” i „dzieląc” „Polaków” w momencie, kiedy ci nade wszystko pragnęli „być razem” – jak kazała pani red. Justyna Pochanke z TVN i znany na całym świecie z żarliwego obiektywizmu red. Tomasz Lis. Wprawdzie na skutek perfidnej obstrukcji senatorów PiS, którzy kilkakrotnie zrywali marszałkowi Borusewiczowi quorum („całe się zbiegło quorum; doctorum, redactorum...”) Senat nie przegłosował nawet porządku dziennego, ale po innej linii rozkazy dotarły już gdzie trzeba

i pan Roman Gutek, zajmujący się dystrybucją „kina niezależnego” wycofał się z dystrybucji filmu „Solidarni 2010”. Najwyraźniej mobilizacja dla potrzeb kampanii prezydenckiej nie uznaje żadnych wyjątków.

A przecież na mediach – chociaż to w nich wytwarza się opium dla ludu – świat się nie kończy, toteż pełniący obowiązki prezydenta marszałek Bronisław Komorowski właśnie wysunął kandydaturę prof. Marka Belki na prezesa Narodowego Banku Polskiego. Premier Tusk nie może się go za to nachwalić, podobnie jak prof. Grzegorz Kołodko. Jużci – prof. Marek Belka składa się z niezliczonej ilości zalet, a wśród jego niebagatelnych dokonań było również piastowanie stanowiska premiera rządu, do którego nie przyznawało się żadne ugrupowanie parlamentarne, a który aż do końca kadencji rządził sobie jak gdyby nigdy nic. Rzuca to snop światła na prawdziwe umocowanie rządów w Polsce, zwłaszcza, że prof. Marek Belka został zarejestrowany – oczywiście „bez swojej wiedzy i zgody” w charakterze zaufanego razwiedki aż pod dwoma pseudonimami: „Nawal” i „Belch”. Na poprzednim etapie nawet sam Donald Tusk w 2005 roku zwracał w związku z tym uwagę na „niejasną postawę” prof. Belki w wyjaśnianiu swojej przeszłości – ale teraz etap się zmienił, wszystko jest jasne i prof. Marek Belka jest naszą najukochańszą duszeńką.

Najwyraźniej razwiedka porzuciła już pozory i pełniącym obowiązki prezydenta panem marszałkiem Komorowskim steruje już ręcznie, co budzi sprzeciw nawet w rozumiejącym wszystko wicepremierze Waldemarze Pawlaku. Czyż można w związku z tym dziwić się opinii przedstawionej niedawno przez panią minister Ewę Kopacz, że premier Tusk nigdy nie podnosi głosu, bo wystarczy samo spojrzenie. Rzeczywiście – ostatnio pan premier Tusk spogląda na świat coraz straszniejszym, można powiedzieć – bazylijszkowym wzrokiem. Powiadają nawet, że siłą tego spojrzenia powstrzymał wody potopu, pewnie na tej samej zasadzie, na jakiej wzrok Meduzy zamieniał człowieka w kamień. Ciekawe, od czego mu się to zrobiło, bo wiele wskazuje na to,

że te objawy wystąpiły u niego od momentu, gdy pod Smoleńskiem premier Włodzimierz Putin schwycił go w swoje objęcia. Ciekawe, że przewidział to Janusz Szpotański, pisząc jak to „de Gaulle, sklerotik i starik” po pocałunkach carycy Leonidy „formalno popał w trans, on przestał bredzić o belle France i tylko skuczał u mych stóp: Ach Leonide, ty mienia lub, dla ciebie cały Zapad broszę, tylko mnie jeszcze całuj, proszę!” Najwyraźniej caryca Władimira całuje jeszcze lepiej niż Almanzor.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: Goniec